

Taniocha



Joanna
Szczepkowska

Długo nie mogłam namówić N., żeby mnie zawiózł na targ staroci. On nienawidzi takich miejsc. Na argument, że można tam znaleźć coś „z duszą i z charakterem”, odpowiada, że charakter można mieć przecież podły. Na argument, że są tam meble „z historią”, wzrusza ramionami, bo przecież bywają nudne historie, a kiedy mówi mu się, że tam jest po prostu ta-

nio, powtarza w kółko to samo: „Tanie rzeczy są bardzo drogie”. W ponurym milczeniu jechaliśmy na przedmieście.

Targ wyglądał jak miasto mebli w upalny dzień. Ulice szaf, place stołów, zakątki etażerek, klęczników i podnóżków, a między nimi tłumy przechodniów. Gdzieś w środku, ukryci w cieniu mebli, siedzieli sprzedawcy, cierpliwie odpowiadając na pytania. Niestety, słońce bezlitośnie obnażało każdą rysę, pęknięcie, rozdartą powierzchnię, każdą szparę i dziurę po kornikach. Ludzie biegali nerwowo w poszukiwaniu cudu, rozglądając się pośpiesznie po okolicy. A mnie zatrzymała mała komoda. Jej blat koloru jasnego orzecha był cały poorany, a liczne pęknięcia tworzyły wybrzuszenia, tak że jadąc dłonią po blacie, głaskałam chropawą, fałującą przestrzeń. Szuflady były krzywe i niedomknięte, zresztą żadna nie miała kluczyka, a zardzewiałe zamki dawno już chyba zapomniały, po co istnieją. N. pociągnął mnie mocno za rękę.

– Idziemy – powiedział. – Nie mogę patrzeć na ten złom.

Ale ja byłam już zakochana. Serce biło mi szybko i nie mogłam oderwać oczu od tej kruchej istoty, którą N. bezlitośnie obrażał. Byłam pewna, że komoda to słyszy.

– Trzysta złotych – mruknął mężczyzna ukryty między meblami.

– Dwieście – powiedziałam, a on szybko przytaknął.

– Widzisz? – powiedziałam do N.

– Tylko dwieście złotych.

– Tylko? – N. spojrzał na komodę z nienawiścią.

– Oddam do renowacji.

– No to gratuluję taniego zakupu.

Czy ty wiesz, ile taka renowacja kosztuje? – N. pociągnął mnie mocno za rękę, a ja dałam się zaprowadzić do samochodu, bo żeby nie wiem jak na to patrzeć, N. miał rację. Zapinając pas, podziękowałam mu nawet, że nie kupiłam tej starej i bezużytecznej w gruncie rzeczy komody, z którą byłoby

więcej kłopotu i wydatków niż pożytku, pocałowałam go w policzek, a kiedy zapuszczał motor, powiedziałam: – Stój.

Odpięłam pas, otworzyłam drzwi i w ciągu minuty stałam już przed komodą, trzymając w ręku dwieście złotych. Okazała się niespodziewanie lekka. I bardzo łatwo zmieściła się na tylnym siedzeniu. Do punktu renowacji mebli jechaliśmy w zupełnym milczeniu.

– Co z tobą zrobili, biedaczko – konserwator kiwał głową, patrząc na komodę. Była traktowana jak pies na łańcuchu. – Zrobimy z ciebie cudo, maleńka – pogłaskał mebel, a potem powiedział: – To będzie kosztowało tysiąc pięćset złotych.

Wracaliśmy do domu w zupełnym milczeniu. Po dwóch tygodniach pojechaliśmy po komodę. Długo rozglądałam się dookoła, aż w końcu konserwator z dumą pokazał mi jakiś błyszczący mebel. Głupi, niedostępny, próżny. Zapłaciłam tysiąc pięćset złotych. Wracaliśmy do domu w milczeniu. Postawiłam komodę w rogu pokoju i przez następny tydzień nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Włóczyłam się godzinami po mieście, żeby tylko nie patrzeć na mieszkanie z jakąś wypolerowaną lalą, która tam zamieszkała. Wreszcie N. powiedział: – Znalazłem takiego magika, który robi meble „na stare”. Podobno artysta. – I wyciągnął z kieszeni wizytówkę. Artysta mógł przyjechać dopiero za tydzień. Był zavalony robotą. Wreszcie zjawił się, z uśmiechem popatrzył na komodę i powiedział:

– Tak. Kumam, o co chodzi. Ale ja drogi jestem. Tysiąc pięćset to kosztuje.

– Dobrze – mruknął N. i to było ostatnie słowo, jakie powiedział tego dnia.

Po dwóch tygodniach artysta zapukał do drzwi. Uśmiechnięty rozwijał komodę z papieru. Jej blat koloru jasnego orzecha był cały poorany, a liczne pęknięcia tworzyły wybrzuszenia na chropawej przestrzeni. Szuflady były krzywe i niedomknięte. Zamki robiły wrażenie zupełnie zardzewiałych.

– Trochę roboty to z tym było, ale jest OK – wziął tysiąc pięćset, wyszedł, a my z N. całą noc przesuwaliśmy meble, starając się uzyskać klimat, który usprawiedliwiłby obecność takiego mebla. Bez rezultatu. Wyrafinowana brzydota komody nijak miała się do całości. Rano, w całkowitym milczeniu, pojechaliśmy na targ staroci.

– Zwrotów nie ma – powiedział mężczyzna ukryty za meblami. – Mogę tylko odkupić. Za trzysta, dwieście •

